

Edward
Guziakiewicz

Hurysy z katalogu

Układ Słoneczny końca
trzeciego tysiąclecia
oraz urocze, obdarzone
seksapilem androidy
klasy zerowej w akcji



Edward Guziakiewicz

Hurysy z katalogu

Copyright © 2018 Edward Guziakiewicz

ISBN 978-83-64865-71-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie
i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione
bez pisemnej zgody autora.

Zdjęcie na okładce
<https://www.stock.chroma.pl>

Rozdział dziesiąty

Błękit był przejrzysty, przyjemnie dogrzewało, a nakarmione owiraptory przycichły, nie rwąc się do figlów, więc ospały Raoul mógł z ulgą wyciągnąć się na ulubionym pneubedzie i z rozkoszą wystawić twarz do słońca. Impulsywnej Irydzie dał wolną rękę, więc w te pędy wyfrunęła do miasta. Natychmiast się ulotniła. Uwielbiała szaleć świeżo nabytą amfibią, drgające młodzieńcze skrzydła zrywały się do wysokiego lotu, ale jej ikarowe wypadki nie trwały długo i szybko wracała do willi. Jeżeli nie widziała go kilka godzin, zaczynała usychać z tęsknoty.

Jego myśli leniwie błędziły wokół spraw, które go ostatnio nurtowały, mimowolnie obracając się w niejasne i mgliste hipotezy, rozpadające się jednak pod byle podmuchem jak wąty domek z kart. Dumał nad nagraniami z Ganimedesa. Posiadłość Heinbrocków była monumentalna. Staruszkowie mieszkali iście po królewsku w stylizowanym na zamierzchłe czasy pałacyku, wzorowanym na najlepszych angielskich posiadłościach. Jak niegdyś książęta i lordowie mieli moc służby, a ściany licznych salonów, gabinetów i korytarzy zdobiły galerie dzieł mistrzów. Z tyłu za zabudowaniami znaczyły się pokryte świeżą zielenią wzniesienia. Pod ich rezydencją mieściły się rozległe piwnice. Ich „gniazdeczko” robiło piorunujące wrażenie późnym wieczorem, kiedy we wszystkich oknach paliły się światła, a na niebie widniał ogromny Jowisz. Szczerze mówiąc, ani jemu, ani Afrodycie nie wpadło w oczy nic takiego, co mogłoby spędzać sen z powiek. Co miał z tym fantem zrobić? Czy powinien był się im narzucać, nadgorliwie zabiegać o ich względy i wisieć u ich klamki jak ubogi

krewny z prowincji?

Przeniósł uwagę na stryjenkę Annę i zgrzytnął zębami. Dawała mu się we znaki. Ta nieustępliwa staruszka opuściła już Planetę Matkę. Skrupulatnie sprawdził wszystkie dostępne połączenia między Ziemią a Układem Jowisza i ze zgrozą wywnioskował, że musiała zabrać się „Olafem”, z którego pokładami sam się już otrząsał. Potwierdziła to wiadomość, jaką otrzymał z tnącego bezkresne próżnie goliata. Ogarnęła go melancholia. Czy przypadkiem ta przemiła staruszka czy nie pakowała się w pułapkę? Czy nie groziło jej, że znajdzie się na równi pochyłej? Głównkował nad tym, czy w przyszłości sam nie będzie popełniać podobnych błędów. I czy jego rybeńki za to nie zapłacą. Gdyby spotkał go los Hioba, gdyby na dobre zaniemógł, rozchorował się i nie był już zdolny do niczego lub gdyby miał zasnąć na wieki wcześniej niż one, co by się z nimi stało? Póki co pozostawał pod ich urokiem i im ulegał. Starał się zapewnić im komfort i szczęście. Czy miał dość sił, by udźwignąć życie do samego końca i nie ugiąć się pod jego ciężarem? Użałał się w myślach nad sobą. Jedni rodzili się ze srebrną łyżką w ustach i osiągnęli wszystko bez wysiłku, inni mieli zawsze pod górkę.

Rozleniwiony i senny, nosił się z płonną nadzieją, że nikt mu nie będzie wchodzić w paradę i że utnie sobie słodką drzemkę. Niech żyje cywilizacja próżniacza! Nie mógł przewidzieć tego, że już za moment jak opętany skoczy na równe nogi, bo nieoczekiwanie zajrzy śmierci w oczy. Nieuchwytnie niebezpieczeństwo zawisło nad jego głową, a mityczne Mojry, boginie przeznaczenia i losu, pochylili się nad jego nicią życia.

Instynktownie zareagowały owiraptory. Były szybsze niż komandor. Poderwały się, ostrzegawczo kraknęły i w panice dały dyla, zmykając w podskokach w stronę zachodniego skrzydła. Ciarki przeszły mu po plecach. Zaniepokojony uniósł głowę, ze zdumieniem oglądając się za nimi, by następnie badawczo zlustrować fronton. Przed willą coś się działo. To nie było ujęcie z planu filmowego. Nad ubarwioną czerwienią dachówki fasadą

rezydencji przefrunął bez zapowiedzi pozbawiony równowagi, rozpedzony mobil. Nim Raoul zdążył się zorientować, co się dzieje, pojazd śmignął mu nad głową i zanurkował, uderzając z głuchym trzaskiem w przeciwległą ścianę willi. Ułamek sekundy wcześniej od fotela kierowcy oderwała się ludzka postać, wykonująca zwariowane piruety w powietrzu. Rzuciło ją szczęśliwie w stronę basenu i uderzyła całym ciałem w taflę wody. W górę strzeliła kroplista fontanna.

Zerwał się jak oparzony. Powoli docierało do niego, czego był świadkiem. Nie mógł się mylić, na jego oczach roztrzaskała się amfibia z Irydą. Jego słodka kotka skasowała mu gablotę. Czy to jednak była ona? Pochylił się nad taflą wody, rozpaczliwie wpatrując się w toń. Strach dodał mu skrzydeł. Bezradna pływaczka wynurzyła się na powierzchnię.

— Rany boskie, nic ci nie jest? — zawołał przerażony.

Nie odpowiedziała. Powoli podpłynęła w jego stronę, zezując ku rozbitej maszynie i w stronę frontonu. Podał jej dłoń, pomagając wydostać się na brzeg. Starał się zachować zimną krew. Była cała, nawet jej obcisły sportowy kombinezon nie doznał szwanku. Nie dojrzał na nim śladów zniszczenia.

— Co się stało? Mówże wreszcie!

Zbielałe wargi ułożyły się do odpowiedzi, ale hurysa nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Bezgłośnie coś wyrzekła. Z włosów strużkami spływała jej woda. Ramiona miała przygarbione i ciężko dyszała.

— Nie wiem — wykrztusiła po chwili. Mówiła bardzo powoli i z trudem łapała powietrze. — Zawiódł... system... sterowniczy i nie mogłam...

Wyglądało na to, że nic się jej nie stało, takie wariatki miały niewiarygodne szczęście, twarde sztuki, więc odwrócił się, by zobaczyć, co zostało z pojazdu, z którego był tak dumny. Uderzenie zgniotło go i zniszczyło kolumnadę. Owiraptory odważnie zawróciły, nie umknęły daleko, i z właściwym sobie zaciekawieniem, ale i zwierzęcą ostrożnością zaczęły obwąchiwać leżące szczątki.

Nikły płomień zawirował przy stercie złomu i zaraz zgasł, pozostawiając po sobie bladą smugę w powietrzu.

Afrodyta prawie natychmiast wybiegła z salonu, a widząc, co się stało, bezzwłocznie wezwała pomoc z miasta.

Jego lotna bryka dogorywała. Huknęło we wraku i do góry wystrzelił oderwany moduł.

— Ależ się popisałaś! — nie wytrzymał, prowadząc pod ramię nieudanego kaskadera. Miał dość fajerwerków. Kroczyła ostrożnie i lekko kulała. — Kto by się spodziewał? O mały włos, a byłoby po mnie...

Zachwiała się i musiał ją podtrzymać. Nie dała za wygraną.

— To nie moja wina — czuła się upokorzona i z uporem maniaka trwała przy swoim. — To układ... nawigacyjny... — argumentowała, zwalając na maszynę. — Przestały działać... hamulce. — A widząc, że jej nie wierzy, dała upust łzom. Kolana się pod nią ugięły i usiadła na trawie, cała w spazmach. Czy tak powinien był zachowywać się wysokiej klasy android?

W kilka minut później zaczęło się piekło i miał prawdziwe urwanie głowy. Zanurkował ambulans, a zaraz za nim pojawił się ślizgacz policyjny. Potem przyleciała ekipa śledcza, by zająć się szczątkami pojazdu i przyjrzeć miejscu katastrofy.

Wieczorem już wiedział, że to nie był wypadek. Ktoś grzebał w jego wozie. Telefon z policji rozwiał jego wątpliwości, związane z Bogu ducha winną Irydą. Chciano ją przesłuchać i dowiedzieć się, gdzie i kiedy w ostatnich dniach pozostawiała maszynę. Parkowała przecież w różnych miejscach. Szukano klucza do tej zagadki. Tej klasy sprzęt był zwykle sprawny i nie ulegał awariom. Nie mógł wypaść z trasy. Perfekcyjne zabezpieczenia nie pozwalały na wtargnięcie na teren zamieszkałej posiadłości. Producent dbał o renomę i zależało mu na tym, by takie rzeczy się nie zdarzały.

Rozgrzeszona Iryda urosła w oczach.

— Serio? Tak powiedzieli? — ucieszyła się, kiedy odesłano ją z Body Perfect. Zaraz po wypadku skwapliwie zabrano ją tam na badania, przybył po nią służbowy mobil, ale szybko stwierdzono, że nie ma się do czego przyczepić. — Wiesz, że nie mogłabym ci zrobić krzywdy — nieco wstydliwie wyznała.

Objął ją i czule przytulił do siebie.

— Już dobrze, kochanie! Jesteś w porządku.

Położyła głowę na jego piersi.

— Przestraszyłam się, że przestałeś mi ufać. Dlatego płakałam — cichutko mu zdradziła. — To było gorsze niż śmierć!

Jeszcze mocniej przygarnął ją do serca. Zaczynał ją rozumieć. Żyła w cichej udręce, świadoma tego, że nie kocha jej tak bardzo jak Afrodyty. Dryfowała wokół niego, nie znajdując pełnej akceptacji. I pewnie dlatego tak nią rzucało. Czy nie dumał skrycie nad tym, żeby jej się pozbyć? Zwłaszcza w pierwszych dniach jej posiadania? Czy nie zamierzał jej odtrącić? Trudno, by tego po kobiecemu nie wyczuwała. A przecież kochała go bezgranicznie i ślepo. Inaczej nie umiała, gdyż tak ją zaprogramowano w laboratoriach firmy Body Perfect.

Nie mógł jej wiecznie trzymać w objęciach, a nie zamierzał się rozczulać i wylewać łez, więc pogłaskał ją jeszcze po policzku i zajął się tym, co miał na głowie. Między innymi po raz kolejny przeszedł się na skraj atrium, z obrzydzeniem lustrując zniszczenia. Ekipa remontowa miała się pojawić następnego dnia. Była to okazja, by zastanowić się nad tym, czy tego i owego nie zmienić z tej strony dziedzińca.

Paull spoglądał na profesora szeroko otwartymi oczyma. Wyglądał jak oszukane dziecko, które wreszcie odkryło, że dorosłym nie można ufać.

— Naprawdę? — nie chciało mu się wierzyć. — Dlaczego nikt mi nic nie powiedział? Jakim cudem mnie przeoczono?

Profesor zabawnie się wykrzywił, lustrując go z odrobiną

dezaprobaty.

— Nie było cię dobrych kilka tygodni, więc się nad tym nie zastanawiałem — odkaszlnął w zwiniętą pięść. — A poza tym przypuszczałem, że skoro tam siedzisz, to trzymasz rękę na pulsie i masz oko na wszystko.

— No, nie — chłopak prychnął. — Wyszedłem na głupka. Nasi agenci z Nowego Jorku nie należeli do rozmownych. Skąd mogłem wiedzieć? Więc mówi pan, że jak było?.. — Usiłował to sobie w głowie uporządkować.

— Tak, jak rzekłem. Afrodyta obezwładniła w Kanadzie kilku zbirów, którzy usiłowali Raoulowi Dupontowi dobrać się do skóry. Przypuścili nocny atak. Było ich sześciu czy siedmiu, nie pamiętam. Poradziła sobie z nimi bez trudu i przekazała ich w ręce policji.

Paul dumął z wysoko uniesionymi brwiami.

— Wiem tylko o jednym pokrętnym typku — tym z pokładów „Olafa”. Ale to był przypadek... — wydukał. A potem zwrócił się do starego: — Mówi pan zatem, że doszło do zamachów na jego życie? Tak jak z tym autolotem? To akurat jestem w stanie zrozumieć, przecież nasz android nie rozwaliłby, ot tak sobie, powietrznej taksówki. Musiał ktoś przy niej pokątnie majstrować.

Jego rozmówca przytaknął.

— Zdradzam ci takie rzeczy, bo nie chcę, żebyś niepotrzebnie ryzykował. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Komandor prawdopodobnie wybierze się do Układu Jowisza ze swymi aniołkami. Gdyby w naszej firmie ci zaproponowali, żebyś jako technik z nimi poleciał, nie musisz się godzić. Nic ci za to nie grozi. Nie pchaj palca między drzwi! Toczy się ostra gra. To nie są żarty, możesz stamtąd nie wrócić.

Chłopak z uwagą wpatrywał się w przełożonego. Wydawało się, że usiłuje przewiercić go wzrokiem.

— Tak pan mówi? — poddał się wreszcie. Niczego więcej nie mógł z niego wydobyć.

— Właśnie tak — stary zdecydowanie potwierdził. Wziął do

ręki jakieś papiery, dając mu do zrozumienia, że powiedział wszystko, co mógł.

Sprawnie ruszono z remontem nadwątlonej części pięknej rezydencji. Rozciągnięta na kilkanaście metrów pomarańczowa piankowa otulina pokrywała zieloną murawę, tworząc roboczy prostokąt. O trawnik się nie martwił, dobrze ukorzeniony, o równej gęstej darni i niewymagający koszenia, był odporny na uszkodzenia i wgniecenia. W rogu stał agregat, wypełniony półpłynną masą budowlaną. Powietrzny transportowiec, którym przytargano sprzęt, osiadł przed frontonem na przydomowym parkingu. Dwa androidy klasy trzeciej nadzorowały pracę kilku lśniących w słońcu urządzeń, odtwarzających pierwotny wygląd ściany. Na pierwszy rzut oka cyborgi wyglądały jak zwyczajni ludzie, zwłaszcza jeśli filowało się na nie z tyłu. W rzeczywistości były człekokształtnymi monstrami, niebezpiecznymi, kiedy się popsuły.

Brrr, ta podświadomość! We wczesnym dzieciństwie straszono go historiami o wyrywających się spod kontroli robotach — opowieściami, będącymi reliktem zamierzchłej epoki, w której maszyny były dużo bardziej zawodne. Tym tutaj szło nad wyraz gładko i zdumiewała go precyzja ich ruchów. Koronkowa robota! Wtryskarki na ruchomych przegubach z niewiarygodną dokładnością wypełniały cementowo-marmurowe ubytki, a kolumny rosły w górę jedna za drugą, nie różniąc się od pozostałych. Przewidywał, że do południa będzie po wszystkim, co go cieszyło, bo nie znosił, gdy obcy kręcili się po jego posiadłości.

— Tak trzymać! — mruknął z ulgą, zacierając ręce.

Korciło go, by przyjrzeć się z bliska ich dziełu i nieopatrznie wtargnął na budowlaną wykładzinę. Maszyny momentalnie przerwały pracę, a niby-robotnicy instynktownie obejrzeli się na nieproszonego gościa. Ich nieruchome plastikowe twarze nie wyrażały żadnych uczuć, choć oczy mieli uważne i czujne.

— Chciałem tylko popatrzeć — jak sztubak się usprawiedli-

wił, a na jego twarz, nie wiadomo dlaczego, wypełził rumieniec wstydu. Poczł się jak intruz. Nigdy dotąd nie musiał spowiadać się przed takimi jak oni.

— Względy bezpieczeństwa na to nie pozwalają — głos androida okazał się najzupełniej ludzki. Poruszał ustami, kiedy mówił, pozwalając sobie przy tym na ostrożną gestykulację, choć ręce miał jak łopaty.

— Chodzi mi o ten motyw — Raoul usiłował dowieść, że jego obecność jest niezbędna. Ostrożnie podszedł bliżej, starając się niczego nie dotykać i pokazał palcem symbol na zdobionym kapitulu. — Wydaje mi się, że był... eee... trochę wyżej...

— Umieścimy go wyżej — z niewolniczą uległością przyobiegał człowiek z syntetyku. Drugi się nie odzywał.

Ukontentowany Raoul zeszedł z otuliny i praca natychmiast ruszyła dalej. Jednak nie zamierzał tchórzliwie zmykać i rezygnować z roli widza. W milczeniu kibicował ich żmudnemu zajęciu. Pogoda była przepiękna i żałował, że nie może w spokoju wyciągnąć się na pneubedzie.

Zadumał się nad cyborgami najnowszej generacji. W placówkach wojskowych na dalekich obrzeżach Układu Słonecznego w latach jego młodości tylko gdzieniegdzie takie się trafiały. Nie było wtedy na nie mody i nie wywoływały żywszego zainteresowania. Człękoksztaltne roboty pilotowały niektóre kursowe maszyny, ale rzadko kiedy z nimi się rozmawiało. Bo niby o czym to gadać z obleczoną w plastik kupą złomu? Kiedy rozpoczął służbę w armii, krzywiono się na androidy pierwszej i drugiej klasy. Po kilkudziesięciu latach przerwy, stare modele dawno poszły do lamusa, zaczęto wszakże lansować nowe typy. Kosztowały dużo, mało kogo było stać na bezmyślne wyrzucanie pieniędzy, a możliwości ich efektywnego wykorzystania wydawały się mocno ograniczone. Potem jednak stały się bezdyskusyjnym cudem techniki i w mig się upowszechniły, Zalano nimi rynek, zamieniły się w produkt masowy, potaniały i w rezultacie trudno było sobie bez nich wyobrazić codzienne życie. Ekspedienci w marketach,

kierowcy powietrznych taksówek, kasjerzy w bankach, nawet spikerzy w programach informacyjnych — wszyscy mieli nadmiernie wygładzone twarze, jak bohaterowie bardzo dawnych gier komputerowych. Co nie znaczy, że ich buźki nie były na swój sposób sympatyczne i miłe, przecież sięgano po najbardziej pojętne wzorce. Musiały przyciągać uwagę, co liczyło się w handlu. Androidy płci żeńskiej, głównie pierwszej klasy, uderzały seksapilem i potrafiły poruszyć zmysły, zwłaszcza jeśli były dobrze ubrane. Dopiero kiedy wracał z rubieży, odkrył ze zdumieniem, że świetnie zbudowane długonogie jedyńki i dwójki robią furorę w agencjach towarzyskich. „Seks z plastikową lalą?” Ponoć nie jeden skrzywiony facet, a tych nigdy nie brakowało, wołał taką od prawdziwej. Były mniej wymagające niż żywe, a rzekomo dawały to samo, milutkie w dotyku, mięciutkie i ciepłe, o skórze przypominającej ludzką, super sterylne, bezkolizyjne, zawsze dyspozycyjne, gotowe na każdy numer, wyposażone nawet w subtelną aurę psychiczną. Można było z nimi aranżować, co tylko się chciało. Czy to jednak nie groziło wynaturzeniem? A gdzie szacunek dla praw natury?

Drgnął, bo ktoś delikatnie dotknął jego ramienia.

— Ach, to ty?

Stała za nim Afrodyta, jak zwykle w przecudnych resztkach garderoby. W czymś takim jeszcze jej nie oglądał.

— Telefonowali z policji, chcą, by stawiała się u nich Iryda — jego grande amoureuse cichutko do niego rzekła, nie zwracając uwagi na ekipę remontową. — Czy ma polecieć? — zajrzała mu w oczy, pytając o zgodę.

Przyzwalająco kiwnął głową, pieszczotliwie obejmując ją w pól.

— Niech leci, nie ma sensu z nimi zadzierać! — bąknął. Cmoknął ją w policzek. Uzmysłował sobie, że dawniej nie był tak bezpośredni. Uśmiechnął się pod nosem, myśląc o krzyżowym ogniu pytań, w które wpadnie jego narowista ciemnowłosa piękność. Zaraz jednak spoważniał. — Wiesz, co, skarbie? Niech nie

mówi im za dużo. Tyle tylko, ile musi!

Afrodyta odeszła krokiem świadomej swej urody modelki, a on przez dłuższą chwilę pieścił wzrokiem jej sylwetkę, dumny jak paw. Potem zerknął w stronę odnawianej ściany i omal nie podskoczył z wrażenia. Ku jego najwyższemu zdumieniu budowlane androidy były świadkami ich tkliwego tête-à-tête. Nie pracowały, tylko gapiły się na seksowną blondynkę. Oczy omal nie wychodziły im z orbit. Coś tu nie pasowało, czy maszyna mogła pożerać chciwym wzrokiem kobietę? Bezдушny automat, robot, głupiec!

— Co to? Do roboty! — krzyknął jak krewki właściciel plantacji bawełny na czarnych niewolników.

Potem uzmysłowił sobie, że pewnie ktoś ze zdalnego nadzoru w firmie budowlanej uległ chwilowej pokusie i skierował kamery androidów w stronę jego bóstwa. Czy można było nie popadając w nudę, przyglądać się w kółko kamiennym kolumnom?

— He, he, he, nie dla psa kiełbasa! — złośliwie roześmiał się pod nosem.

Na ładne dziewczyny lecieli wszyscy faceci.

Iryda wróciła przed obiadem, kiedy robotnicy kończyli już pracę i gotowali się do odlotu. Oczy świeciły się jej z zadowolenia.

— Byczo było, Raoulu, wyobraź sobie, ci chłopacy wszystko mi wyśpiewali! — pochwaliła się przed swoim panem i władcą, wdzięcząc się do niego.

— Oni tobie? — układnie się zdziwił, ładując się w swój ulubiony fotel. — Co ty nie powiesz? A nie było przypadkiem odwrotnie?

— Mieli świra na punkcie moich nóg... — nie przejęła się ironią w jego głosie. — A może po prostu chcieli, bym połknęła haczyk. I sama dopadła tego drania...

Z rozpędu przysiadła mu na kolanach i cmoknęła go w czoło, a potem zerwała się i stanęła przed nim prawie na baczność. Wy-

glądała fenomenalnie, zatem pewnie miała rację z tymi gliniarzami. Uznał, że wszystko jest w porządku, a nie interesowały go detale, więc odprawił ją wymownym ruchem dłoni. Był dla niej nieomal bogiem, więc mógł sobie pozwalać na nonszalanckie gesty.

Ciemnowłosa przyjaciółka umknęła mu sprzed oczu, jednak nie uznała tej sprawy za zamkniętą i wdała się w cichą pogawędkę z Afrodytą. Niczego nie zamierzała utrzymywać w tajemnicy, to fakt, ale pamiętała, że Raoul nie o wszystkim lubi słuchać. Gadały, gadały, gadały. Wystarczająco długo konferowały ze sobą, by mógł się wreszcie zorientować, że szykuje się jakaś niespodzianka. I tym razem uległa blondyneczka wcieliła się w rolę posłańca.

— Czy pozwolisz nam zniknąć wieczorem na godzinkę lub dwie? — zaszczebotała przymilnie, ale przy tym z nutką niepokoju w głosie. — Wybierzemy się do miasta. Mamy zamiary na typka, który grzebał w twoim wehikule. Chciałybyśmy się z nim rozprawić!

Nerwowo szarpnął ucho i z niepokojem jej się przyjrzał. Miał na końcu języka, że to sprawa glin, ale wiedział, że wbijanie im tego do głowy niewiele da. A jeśli to oni faktycznie z premedytacją podrzucili Irydzie to zadanie? I chcieli jej rękami wyjąć kasztany z ognia? Cofnął się myślami do owej pamiętnej nocy u stryjenki w Kanadzie, kiedy to filigranowa Afrodyta poradziła sobie w pojedynkę z bandą zbirów.

Wymownie wzruszył ramionami, wkładając ręce do kieszeni obszernych szortów. Machinalnie wyjrzał na dziedziniec. Podążały za nim wzrokiem jak słoneczniki za słońcem. Nie pały żądzą zemsty, rzecz oczywista, chciały tylko oczyścić mu zaplecze i zakarbowały sobie, że muszą to załatwić po swojemu. Miały pole do popisu. Przywdział pancierz obojętności i postanowił, że znieśie to ze stoickim spokojem.

— Dobrze, jeśli musicie...

Uporały się bardzo szybko z tym zadaniem. Dwa gniewne

androidy ruszyły do akcji. Jeszcze nim pomyślał o tym, żeby pouturłać się do łóżka, pojawiły się z powrotem. Zdążył obejrzyć program kabaretowy, a potem relację z mistrzostw Diany w lekkoatletyce. Ciekawiło go, jak najlepsi sportowcy radzą sobie z trójskokiem i skokiem w dal oraz innymi podobnymi dyscyplinami.

Wrócili z zawadiackimi minami, więc uznał, że poszło im jak z płatka.

— I jak? — zapytał mimo to z zaciekawieniem, wychodząc im naprzeciw. — Miał się z pyszna?

— Spuściliśmy mu manto. Obyło się bez świadków, ma się rozumieć — rzekła w podnieceniu Afrodyta. — Niezły szajs, bydlak nie ma już konta w banku, ani bryki, ani apartamentu. To znaczy kolasę ma — poprawiła się. — Wstawiliśmy mu ją do sypialni...

— Co?! — nie chciało mu się wierzyć. — Nie posunęłyście się za daleko? Żeby nie było przykrych następstw...

— To ona grała pierwsze skrzypce — asekuracyjnie zasłoniła się dotąd milczącą Irydą. — Była wściekła, gwałtowna i niepohamowana.

— Ten frajer przyznał się, skąd dostał zlecenie — brunetka usiłowała go udobruchać, dzieląc się z nim zdobytymi wieściami. — Z Układu Jowisza, a dokładnie z Ganimedesa — oznajmiła, robiąc dobrą minę do złej gry. — Tak, z Ganimedesa — powtórzyła, widząc niedowierzanie w jego oczach. — Od nikogo stąd, na szczęście. Ale nigdy więcej nie podniesie na ciebie ręki.

Mina mu zrzędała i poczuł nieprzyjemny skurcz w okolicy serca. Z tego kaprawego księżycy? Jednak stryjenka miała rację!

Przełknął tę gorzką pigułkę. Nie napędziły mu strachu, nic z tych rzeczy. Po prostu doznał uczucia goryczy. Wkurzył się na tych typów, winnych już drugiego zamachu na jego życie. A przecież był im gotów wspaniałomyślnie wybaczyć. O ile by się od niego odczepili.

— Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć — Iryda

miała na ustach kolejną rewelację. — Ten frajer nas nie rozczarował. Wzięliśmy go ostro w obroty i wszystko nam wyśpiewał. Postawiono na nogi dwóch kolejnych drani. Mają włamać się do twojej willi i dobrać ci się do skóry. To też zlecenie z księżyców Jowisza.

— Włamać do mnie? Parszywe psy! Przerośnięte portowe szczury! — zaklął brzydtko, nie przejmując się tym, że zdradza brak okrzesań i ogłady. Tego się nie spodziewał. Zafrasowany zerknął na swe papużki nierozłączki jak na ostatnią deskę ratunku. Wisiał nad nim miecz Damoklesa i przestawało mu się to podobać.

— Nic się nie martw — w mig pocieszyła go Afrodyta. — Będziemy trzymać rękę na pulsie. Damy im taki wycisk, że nigdy tu nie wrócą.

Mruknął coś bez przekonania. Nie było wesoło.

— To mi pomoże jak umarłemu kadzidło. Nie ustąpią i przyślą następnych — wykoncypował ze zgrozą.